Ner 11.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 20 maja 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 5 maja 1843.

Tegoroczne *Longchamps* przypadło w porę dość nieprzyjazną jakkolwiek się jeszcze nieprzyjaźniejszej spodziewano. Nawet w trzecim dniu który był wcale pogodny, mrozik był tak przenikliwy, że sam jeden figurował nad wszystko, i ściągał na siebie więcej uwagi niż tryumfalny *omnibus* dostojnej królowej otoczonej gronem dam najpierwszych. Zima, jak mówią Francuzi, przyszła w swej tualecie, zaglądnąć w oczy młodej rywalce wiośnie, i nie znalazłszy jej zwróciła wyłącznie na siebie oczy wszystkich. Dopiero znacznie po wielkim tygodniu i świętach zaczęły nieśmiało pokazywać się stroje wiosenne, z których znaczniejsze tu opisujem.

Stroje damskie. Mantyle i rańtuchy walczyły o pierwczeństwo, do tej walki wmieszał się strój trzeci, paletot... paletot damski! strój ten ozdobiony bogatemi korunkami i najdelikatniejszemi haftami mógłby być jednym z najpiękniejszych, gdyby krój jego niezasłaniał kibici, nieprzeszkadzał widzieć powab jej ruchów i odsłaniał piękne ramiona; w takim razie niezgrabność zostałaby w samym tylko jego nazwisku. Lecz niestety! przy takim kroju jaki ma dzisiaj, podobny jest wielce do dzwonu. Na cóż się przyda i najcudniejszy układ postaci, jeśli ją ma zeszpecić i zakapturzyć suknia, jakby jakiej pokutnicy z *Dieppe* lub *Bulonii.* Paletot tedy z swym dotychczasowym krojem zostaje na modnym świecie w cieniu, a tylko spółubiegają o pierwszeństwo mantyle i rańtuchy. Wszakże i z tych strojów zdał się dla niektórych osób jeden za nadto leciuchny, drugi za poważny, a to spowodowało *Brunela* i *Leymerie* do wynalezienia stroju, któryby obojgu względom dogadzał. Takim są rańtuchy z rękawami *(mantelet-echarpe)* strój pełen wdzięku, przytym wygodny, i ani lekki, ani poważny za nadto. Jest on zwykle z grodenaplu czarnego lub rypsu, lecz najstrojniejszy, od wielkiej elegancii jest rańtuch z korunek lub muszlinu indijskiego, ozdobiony najpyszniejszemi haftami. Taki bywa zwykle wycięty. Przeciwnie mniej strojny, służący do przechadzek poobiednich, rańtuch zakrywa gors, osłania szyję, a jest z kitajki glancownej lub kolorowej.

Na ranny negliż służy redyngocik z cwelichu z nici surowych, z stanikiem wysokim, z klapami wyłożonemi, zapinany tylko na trzy guziczki, pod spodem kołnierzyk z batystu szkockiego z rabatami. Rękawy z wyłogami w sposobie Ludwika XIV spadającemi znacznie po niżej łokcia, rękawki marszczone; wreszcie rańtuch z rękawami ozdobiony *à la vieille.*

Muszliny utrzymują się w ciągłem panowaniu. We wszystkich uroczystościach jakoteż w przechadzkach publicznych, w zgromadzeniach arystokratycznych i powozach, któremi piękne panie do lasku wyjeżdżają, widać suknie muszlinowe. Kapelusze i kapotki wiosenne pokazały się najwcześniej. Są one z krepy białej ozdobione różyczkami, także kapelusze słomkowe ozdobione prościutką girlandą z drobnych róż polnych, albo też wstążkami szkockiemi. Kapotki są ryżowe lub z gazy w guście chińskim; tudzież z krepy liliowej w dwoch odcieniach, ozdobione torsadką z wstążek i gałązki lilii perskiej.

Rycina przedstawia: suknię z dwoma liziejrami, które są frężelką obszyte po bokach z guzikami szmuklerskiemi do zapinania; stanik gładki, z peleryną rękawy obcisłe, kapelusz ryżowy. Suknia z fularu szkockiego z dwoma szerokiemi falbanami, stanik wysoki, gładki, rękawy sposobem greckim, kape-

lusz ryżowy, biały; trzecia suknia grodenaplowa ze szeroką falbaną i pelerynką.

Stroje męskie. We frakach modnych dają się guziki bardzo rzadkie, ledwie po cztery na każdej stronie, kołnierz i klapy bardzo szpiczasto zcięte, stan nieco szeroki, poły mało wycięte.

Surduty najczęściej są o jednym rzędzie guzików, kołnierz i klapy równie są szpiczaste; taka forma daje się dziś postrzegać w strojach główniejszych, czyto są surduty czy fraki, na dwie lub też na jedną stronę zapinane.

Rycina przedstawia: tużurek i frak od spaceru; spodnie w kratki.

SZCZEROŚĆ.

przez

Leszka Dunina Borkowskiego.

Dla czego ludzie się rozumieją nie wiedząc znaczenia słów których używają? Weźmy np. napis tego artykułu, któryż z czytelników go nie zrozumiał? a zapytajmy ich: co jest ta zrozumiana przez was szczerość? to każdy odpowie inaczéj. Czytelniczki najprzód, chociaż nie wszystkie, ale po większej części powiedzą: szczerość jestto aby być szczerym; uczeńsze będą utrzymywały iż szczerość jestto mówić prawdę; zakochane zawołają: szczerość jestto miłość; a jakkolwiek dziwnym się zdaje to tłumaczenie ostatnie, jest ono jednak prawdy najbliższe. Trudno zapewne żądać od kobiet ścisłego określenia znaczeń słów używanych, ale warto przecież zastanowić się jakim sposobem bez tego rozumieją się kobiety? Zapytajmy teraz tych panów bardzo zarozumiałych i wszystko umiejących, którzy słuchali psychologii i skończyli filozofią: co jest szczerość? Tu dopiero usłyszysz niezliczoną ilość definicij głębokich i szumnych których większą połowę pewno nie zrozumiesz, a objaśnienia będą jeszcze ciemniejsze i zawikłańsze. Najzrozumialsi powiedzą: jestto władza duszy, przymiot moralny; jestto zgodność mowy z myślami. Azatem szczerem jest ten, któren ma to na języku co w myśli. Według tego określenia znamieniem szczerości byłaby mowa; szczerość byłaby temsamem co prawda, co wiedza; a przecież może być prawda nieszczera. Jeżeli ci kto powie: Ludwik VII kazał spalić w kościele w *Vitri* pare tysięcy mieszkańców; powie zapewne prawdę tak jak ją wie i myśli; ale czyż można go dla tego nazywać szczerym? Wiadomość wypadków dziejowych, zjawisk przyrodzonych, zasad filozoficznych i w ogólności wszystkich prawd naukowych jeżeli je kto powtarza jak wie i myśli, czyż jest szczerością? W takim razie szczerość byłaby tylko powtórzoną słowami pamięcią i potrzebaby nazwać szczerym matematyka za to że nie przeczy iż dwa razy dwa są cztery; i szczerem botanika za to, że wyznaje iż słonecznik ma kwiat żółty, a róża jest woniejąca. Jeżeli zaś szczerość zawisła na zgodności mowy z myślami, a wyłączymy wiadomości nabyte z nauk ścisłych i doświadczenia, jednem słowem wiedzę: coż dla szczerości jeszcze zostanie? Szczerością jest mówić to co się myśli, a przecież mówiący że ogień pali, słońce świecie, a deszcz moczy, nie jest jeszcze dla tego szczerym; owszem może być czasem obłudnym i jest nim nieraz istotnie. Powiedzcież mi panowie co trzeba myśleć i mówić aby być szczerym, kiedy nie wszystko stanowi szczerość co się wie i myśli, a mówi jak myśli? Wróćmyż teraz do zadania uczynionego z samego początku: jakim sposobem rozumiemy niewiedząc znaczenia słów używanych? Odpowiedź na to bliska: przez szczerość. Jakto? To jest mówiąc, inaczej, czujemy znaczenie słów choć nieumiemy sobie z uczuć naszych zdać sprawy. Zakochany pojmuje i rozumie miłość dokładnie, opisze wszystkie jej znaki, jej cierpienia i roskosze, chociaż nie będzie umiał wyłożyć coto jest miłość. Widzimy więc że i uczuciem można rozumieć nie tylko wiedzą i rozumem. Lud prosty posiadający mowę ze zwyczaju, rozumie się tylko uczuciem. Jak wszystkie wiadomości ludzkie dzielą się na teoryczne i praktyczne, tak też i rozumienie podzielić wypada na rozumowe i uczuciowe: bo czemże jest rozum, jeżeli nie teorią; czemże uczucie, jeżeli nie praktyką duszy? Organem teorii czyli myśli, ich postacią i ciałem są słowa, a znakiem i postacią uczuć jest szczerość. Szczerość jest powierzchownością serca, jak mowa powierzchownością duszy; w tem tedy tylko co się czuje, szczerym być można, a co się wie bez uczucia, z zimnej nauki, nie należy już do szczerości. Nie są też słowa koniecznie do objawienia szczerości potrzebne, okazanie uczuć serca, czyto radości czy smutku, w znakach im odpowiednich, jest także szczerością. Jest zatem szczera twarz, która wzruszeń wewnętrznych utaić i zamaskować niemoże, i szczerym człowiek, który je w jakikolwiekbądź sposób oddaje takiemi jak są. Ma szczerość dwojakie środki aby się stała widomą: najprzód całą powierzchowność, ruchy i zmiany lic; potem kiedy uczucie przejdzie już w myśli, ma wtedy mowę. Lecz jakimże będzie mowa narzędziem szczerości, kiedy już jest nabytkiem nauki? Dla tego który najpierwszy razem z wruszeniami serca brzmienia poczuwał, i rwał niejako

z duszy słowa aby uczucia nazywać; dla tego była mowa zaiste samą szczerością. Lecz możeż nią być dla tych, którzy już do gotowych słów zimno przychodzą? Będzież ten jeszcze szczerym, który dowiedziawszy się że smutek zasępia lica, a radość roziskrza oczy, używa tego lub owego według potrzeby i chęci okazania się? Przeto ponieważ szczerość jest powierzchownością uczuć,nie możemy być w mowie szczerymi tylko wtedy kiedy znaczenie słów używanych czujemy; nie dosyć jest je rozumieć.Znaczenia zaśsłów czuć niemożemy tylko w jednym języku, którego uczyliśmy się najpierwej, uczyli żywo, to jest praktycznie; azatem tylko w języku rodzinnym lub w tym, który nam język rodzinny zastępował i który dla tego nazywamy własnym językiem; nigdy zaś w cudzym. Język nasz podawał gotowe brzmienia w miarę tego jak kluły się i wzmagały w sercach uczucia, brzmienia te wzrastały niejako w jedną nierozdzielną całość razem z uczuciem, osłaniały go jak gdyby mięki kłębek niewidomego jedwabnika; a ile razy potem ozwało się to uczucie, tyle razy mimowolnie składały się usta ku wymówieniu tego samego słowa. Język nasz rośnie nam w sercu i z sercem, wyobrażeniami swojemi, sposobem w jaki je oddaje, i wszystkiemi własnościami wpływa od lat najmłodszych nieprzerwanie na nasze pojęcia i uczucia; wyrabia duszy naszej właściwość i postać, jak kropla wody ciągle w jedno miejsce spadająca kamień wydrąża. Każdy język ma wyłącznie swoje własne obrazy, pochodzące od sposobu i stanowiska zapatrywania się na przedmioty tych którzy go tworzyli. Najjaśniej daje się to postrzegać w przysłowiach. Właściwości języków (idiotyzmy) różniąc się nawet przy oddawaniu tychże samych myśli, budzą w duszach różne, odmienne wyobrażenia, które im potem zostają na zawsze jako treść i podścielisko, stanowiące ich osobowość (indywidualność) ich swojość. Wyobrażeniom tym musi się poddać każda dusza do gotowego przystępująca języka, gdyż w razie przeciwnym ile osób tyle byłoby mów oddzielnych. Te powszechne w języku złożone wyobrażenia nadają duszy naszej pierwsze rysy rodowe, stanowią jej charakter jej szczerość. Po tych znamionach rozróżniając dusze pomiędzy sobą jak po licu rozróżniamy ludzi, przyszlibyśmy do wniosku, że tyle jest duchów na ziemi, ile jest mów różnych. Mowa każda jest twarzą swojego ducha, jak szczerość twarzą swojego serca. Duch może przybierać różne oblicza, ale swoje własne ma tylko jedno; wszystkie inne są udaniem, są nieszczerością, jak gdyby aktora naśladującego różne zwierzęta i różne miny. Nauka obcych języków jest tylko taką komedią ducha. Duch posiadający już twarz swoją, uczy się inne jeszcze twarze dobrze przybierać i małpować, a im to zręczniej robi, tym lepszym jest aktorem. Talent przyswajania sobie języków obcych jest zdatnością czysto-komediancką; używanie zaś mowy obcej jest grą, jest obłudą, tak właśnie, jak używanie obcych ruchów i giestów. Mówiący obcą mową nie jest szczerym i być nim nie może, to jest nie czuje słów które wymawia, tylko się ich nauczył i wie na pamięć. Nie idzie jednak zatem aby nie można uczuć swoich obcą mową oddawać; ale oddając nawet jak najprawdziwsze uczucia, oddając je z całą rzetelnością, jeszcze jesteśmy nie szczerzy, nie szczerzy w oddaniu. I tak np. będzież ten szczerym kto myśli: j e s t, a mówi: r o b i ć. Weźmyż ten bardzo długi szereg wyrażeń w których Francuz używa *faire*, a Polak mówi j e s t. We wszystkich tych Polak po francusku mówiący jest nie szczery, bo co innego czuje i musi sobie wystawiać, a co innego mówi. Każdy język nadaje myślom pewną postać, uczuciom pewną jednakowość. Jeżeli tedy Polak mówi: *il fait mauvais temps; il fait mauvais marcher*; *il n'a point fait de printemps* itp; mówi według nauki, ale nie według uczucia jest nieszczery: bo Polak nie może czuć, ani wyobrażać sobie w tym razie jakowąś r o b o t ę tylko czuje i wyobraża sobie stan obecny. Przeciwnie zaś Franzuz, którego duszę natura języka rozwinęła inaczej, posiadając słabe początki polskiej mowy, powie ci pewno: r o b i w i e l e w i a t r u n a d w o r z e, i powie według uczucia swego, azatem szczerze. Skoro zaś tę szczerość dalsza nauka przytępi, może wtedy powiedzieć: jest wielki wiatr na dworze, i będzie to według nauki z przymusu nie ze szczerości: bo Francuz wszystkie zmiany powietrza, nie może sobie wystawiać inaczej tylko przez *faire*. Używający tedy mowy obcej musi mówić albo źle, to jest według uczuć i wyobrażeń jakie ma z mowy własnéj; albo nie szczerze, to jest przeciw tym uczuciom, a według prawideł i konieczności mowy, której używa. Prawdziwość tych twierdzeń postrzegamy najjawniej w przysłowiach gdzie całe obrazy krzyczącym podlegają różnicom w pomyśleniu i oddaniu. Cożbyśmy powiedzieli o malarzu, któryby myślał cygana i dziecko, a odmalował ptaka i gniazdo? A przecież tak dzieje się nieraz w użyciu mowy obcej. Każdy cygan dziecko swoje chwali, oddajemy po francusku przez: *Chaque oiseau trouve son nid beau.*

Używanie mowy obcej, jest zawsze zabawką, zamaskowaniem wyobrażeń i uczuć własnej duszy; jestto reduta duchowa. Jak aktor kiedy przybiera na siebie ubiór i postać jakiego rzymskiego cesarza, przy-

*

czepia brodę, marszczy czoło, unosi się, jest srogi, okrutny, waleczny itd; może jak najlepiej udawać ale zawsze jest tylko aktorem. Kiedy powiada: na tysiąc strzałów te piersi narażę; wie dobrze że niema dla nich najmniejszego niebespieczeństwa. Mówiący: *les dames sont fort bien mises; le vert jure avec le bleu, un doigt de vin* itp; wie także bardzo dobrze, że te panie nie są położone; że kolory nie przysięgają i nie klną, że wino palców niema itd; ale mówi dla zwyczaju przeciwko swemu pojęciu. Chcąc tedy mówić obcym językiem, potrzeba albo być nieszczerym, zrzekając się pojęć i uczuć rodzimych, albo być śmiesznym jak niejedna rozmowa polskich Francuzów. *Qui est la?* pytała pani na pół powszednia, na pół niedzielna z kanapy słysząc szmer jakiś u klamki, *Je,* odpowiedział młodzieniec wytykając głowę z za drzwi: *A, ce Monsieur, je prie fort*; *comment se porte votre senté?* Twierdzić że Polak może być szczerym po francusku, jest to samo co utrzymywać, że Turek może być muzułmanem po chrześciańsku. Może być Turek chrześcianinem, ale musi wprzód przestać być Turkiem, wiarę swoją zaprzeć i odmienić. Pięknie nazwali starożytni Grecy posiadającego dwa języki posiadającym dwie dusze. Ale dwoch szczerości mieć nie można jak i dwóch wiar, bo jedna drugą wyłącza. Jakkolwiek sam dźwięk materialny nie jest dla czującego serca obojętnym, a słowa z obcej mowy nabyte, nie wzrastały wraz z nami jak przyjaciele rowiestni, nie wiąże się do nich urok najpierwszych naszych wzruszeń uczuć i myśli, nie otaczają je niezatarte pamiątki jakgdyby tej okolicy, gdzie przeskakaliśmy wiek nasz dziecinny: to jednak; przypuściłbym szczerość i w obcej mowie w tym jednym razie, kiedy chodzi o przemianę słów samych i użycie zamiast naszych, obcych; nigdy zaś w tenczas kiedy też samą myśl wypada oddawać słowami innych znaczeń. Słowa miłość, przyjaźń wymówione z szczerością, to jest z uczuciem, i w tej chwili kiedy się je poczuwa, przejmują duszę Polaka taką lubością, że je nie wzbudzi żadne słowo obce, tożsamo znaczyć mające, chociażby mu towarzyszyło nawet najrzeczywistsze uczucie: gdyż uroczystości tej chwili przedrzyźnia dziwactwo lub głupstwo nazywania uczuć najswobodniejszych brzmieniem gwałtownem, narzuconem; tak właśnie, jakgdybyś rzeczywistego Juliusza Cezara ubrał w togę papierową i wieniec z liści płóciennych. Będzieć on przez to Cezarem, ale zawstydzi go i pomiesza ta zwierzchnia niestosowność; podobnież dzieje się z uczuciem polskiem w obcem ubraniu. Ale pomińmy mało przez kogo rozróżniany, większy lub mniejszy stopień uczuć jakie sprawuje ich nazywanie; pomińmy wpływ magnetyczny jaki wywiera wynurzenie ich silne, rodzime; i przypuśćmy że mógłby Polak powiedzić ze szczerością: *Je vous aime; je suis votre ami.* Chodziłoby tu o same słowa (do których przywiązanie nie jest także jak widzieliśmy chimeryczne) wszak i po polsku mówimy: kocham cię, jestem twoim przyjacielem; ale powiedzieć: *je vous portede l'amitié,* nigdy z szczerością nie może, gdyż takie oddanie sprzeciwia się wyobrażeniom ducha polskiego, który nie wystawia sobie przyjaźni w sercu jako chleb w torbie żebraczej, albo gościniec w podróżnem puzderku. Nie sądźcie abym wystąpił przeciwko nauce obcych języków; owszem wiem dobrze, że ten pośrednik przedstawia i pokrewnia duchy; zbliża, poznaje i zaprzyjaźnia narody. Jest on w świecie duchownym listem zalecającym, który nam jedna wstęp i znajomość. Za jego pomocą tylko duch polski mógł obaczyć i poznać ducha francuskiego, niemieckiego itp; i wzajemnie odwidzać się potem, często, chociaż bez zachowania salonowych przepisów. Bo duchy nie robią z sobą żadnych ceremonii są jak najszczersi nic utaić nie mogąc. Jednak pomimo zupełnego ocenienia użyteczności obcych języków nie odwołuję także co powiedziałem, że gibkość duszy w oddawaniu się w różnych słowach i formach jest jej talentem aktorskim. Ależbo i talent taki nie jest naganą, owszem artystostwem. Dobrze jest umieć użyć obcego języka w razie koniecznej potrzeby np. z cudzoziemcami, tak właśnie jak dobre są świece po zachodzie słońca; lecz coż powiedzianoby o takim, któryby śród dnia białego palił pochodnię, albo z posiadającymi dar mowy na migi głuchoniemych rozmawiał? Nie zawadzi używać obcej mowy w społeczeństwach w których o szczerość nie chodzi tylko o chwilowe spędzenie czasu, o parogodzinną ułudną igraszkę, jakby w teatrze. Tam można świecącymi frazesikami powyrywanemi z różnych guwernantek i xiążek upstrzyć rozmowę jak skrzydła motyle, i zamaskować niemi ociężałość ducha, który nic z siebie nie snuje, tylko przeżuwa leniwie w ufryzowanej głowie, jak utuczone zwierzę w karmniku ocienionym drzewami. Ubóstwo świecić pragnące osłania się zwykle szychem i bronzem. Lecz możeż być co ohydniejszego jak używanie mowy obcej w stosunkach poufałych, wymagających zupełnej swobody i szczerości; kiedy nie dla żartów i zabawki się mówi? np. w oświadczeniach kochanków, w zwierzeniach przyjaciół, w serdecznych rozmowach rodziców i krewnych. Nie zasługujeż to na wzgardę rozumu i uczciwości? Jakichże cnót spodziewać się po ludziach, których jeszcze przy sercach rodzicielskich poiła obłuda, i nauczała w najskrytszym zakątku domowym uganiać za błyskotkami pięknego udawania? Każde dzieńdobry było tam sztuką, każda pieszczota kaligraficzną ozdóbką. Uczucia prawdziwe stępiały, nastąpiła obojętność na wszystko najświętsze i najrzewniejsze, jakiemi są węzły przyjacielskie i rodzinne. Łudzić się dobrowolnie pomiędzy swoimi i przyjmować udawanie za prawdę czyżto uczciwie? Kiedy aktor na scenie przebiera się i odmienia, to zamiarem jest jego oszukać i omamić; ale zszedłszy raz z oczu publiczności, którą zabawiał, czyliż zatrzyma płaszcz purpurowy i dębową koronę, aby przyszedłszy do domu, powiedział żonie i dzieciom z twarzą groźną: jestem Cezarem! drzą przedemną krocie? Otoż tak śmiesznie wygląda każdy używający mowy przybranej w kole rodzinnem. Na coż mu wtedy tego obcego nabytku? Czyż nim rodzinne uczucia powabniej ubierze i ozdobi? Miałżeby duch jego być tak niezgrabny i szorstki aby dopiero przebrany i zamaskowany wydał się jakotako? Właśnie też szczerość trzymać się będzie mody, wyszukiwać słówka dźwięczniejsze i układniejsze zwroty, aby się wydała piękniejszą! Już samo upięknienie prawdy jest nieprawdą. Dobraż to chwila przed przyjaciołmi przebierać się i udawać innych, chociażby i lepszych niż być możemy? Tylko zmyślona miłość takiej się roli podejmuje. Prawdziwa zwykle jest milcząca, bo nawet we własnej mowie trudno jej się wyrazić, tak wązki jest język na obszerność uczuć jakie wtedy pierś przepełniają; dla tegoto mową miłości są oczy nie słowa. Nawet najwprawniejsi w myśleniu i w malowaniu swych uczuć literaci i poeci ledwo część jedną bogactw miłości zdolni są oddać barwami słów.

Kochanko moja! naco nam rozmowa?
Czemu chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją na powietrzu stygną?...

Ilekroć słyszę polskich kochanków wynurzających zapały miłośne w słowach francuskich, zdaje mi się widzieć dwoch żaków uczących się kochać i wbijających sobie lekcię do głowy. *Amour* kręci się przy nich jak powiernica klasyczna. Trudno głupszych osób i zabawniejszej komedii. Prostak myślałby że drwią z miłości wprowadzając ją na scenę jak Roszka cymbałka lub jakiegobądź błazna, w dziwnem przebraniu. Radzi niezmiernie że w tak ważnem położeniu, nie trzeba im czuć ani myśleć, bo autor sztuki: Meidinger lub Mozin już za nich pomyślał, recytują wszystkie boleści i roskosze i oświadczenia, i poświęcenia i gotowości i uprzejmości, z taką szybkością, że rozumny człowiek niemiałby dość szasu pomyśleć i zastanowić się czy też na wiatr nie powie, kiedy oni już powiedzieli. Bieglejszy deklamator zachowuje w mowie przycinki i znaki pisarskie, bo co umie to nie ucieknie, a pośpiech mógłby go zmęczyć i piersi osuszyć. Zresztą oszczędność w takim przypadku także nie zawadzi bo najpilniejszemu uczniowi nawet, gdyby był bardzo rozrzutny, w ciągu godziny zapasu zabraknie. Nowiciuszom zdarza się najczęściej taka nieprzyjemność, i siedzą potem jak zegrane dudy, męcząc się i kłopocąc bardzo, aby coś wymyśleć i uczuć. Umiejący radzić sobie w kłopocie powtarzają na nowo od a rolę już odegraną, zaczynając zwykle od serce moje, a kończąc na: ręczę pani! lub przysięgam! a im więcej odmówią tych samych oświadczeń, pochlebstw, uniesień i przysiąg, tym mają się za bardziej zakochanych, jak pobożnisje, mający się za tym pobożniejszych im więcej zklepią pacierzy. Zdałby się im rożaniec miłośny. Wypychają próżne serca pamięcią jak kłakami. Jeżeli nic się nie czuje, to przecież coś się słyszało, i czytało i uczyło. Polerują francuzczyzną i zformułowaną grzecznością czczość swoją i gburowatość jak gdyby złocili próżną główkę drewnianego aniołka. Oszukują więc i zabawiają siebie na wzajem, a co najzabawniejsza że sami wierzą w własną nieszczerość, jak stary łgarz we własne kłamstwa. Niezaprzeczoną jest prawdą, że myśleć tylko w jednym można języku, dla tego najłatwiej uczą się mowy obcej ci, którzy wiele pamiętają, a mało lub nic nie myślą; obdarzeni duszą czynną i obfitą, twórczą wyobraźnością i żywością w pomysłach, nie nabędą nigdy łatwości w używaniu mowy nie swojej, chociażby mieli pamięć jak najszczęśliwszą, i obładowali ją jak mrowisko słowami, bo dla rojących się ciągle nowych myśli niewystarczają stare wysłużone zwroty i wyrażenia; potrzeba im stwarzać nowe formy i składnie. Toż samo daje się czuć nieraz w jednej i tejże samej mowie. Dla czego języki np. nasz, francuski, niemiecki itd. z wieków XV i XVI, już są ledwo zrozumiałe dla dzisiejszych Polaków, Francuzów i Niemców? Bo rozprzestrzeniwszy umysłowe obszary wyobrażeń teraźniejsi pisarze w mowie swych przodków już być szczerymi nie mogli. Najpiękniejsza myśl nowa, traci cały swój powab w ubraniu wczorajszem, przykrojonem na nią i złatanem z innego ducha: kiedy przeciwnie myśl nędzna i wypłowiała, w nowych szatach łudzi świeżością pozorną. Dla tego niepoznasz rozumu tylko we własnej mowie. Największy głupiec polski jest po francusku, jeszcze dobrze albo przynajmniej niczego: bo nowość w oddawaniu zdaje się jego zasługą; a jest tylko językową stałą własnością. Rozum to mowy, nie jego. Przeto dziwili się niektórzy z naszych podróżników we Francii, że tam i głupie dzieci mówią po francusku. Słowa mające gwałtem oddawać ideę, która je nieożywia, wyglądają jak kwiaty powiędłe, lub stroje sponiewierane i zmięte na balu dawniejszym. Niedziw że zarzucają Mickiewiczowi usterki przeciwko duchowi i składni mowy francuskiej, w której wykład przychodzi mu z trudnością, chociaż ją zna wybornie i jej literaturę dawniejszą i tegoczosuą. Im bogatszym jest duch, tym mniej mu wystarcza język nawet jego własny. Najbieglejsi pisarze, nie mogą często być dość szczerymi w mowie w której ćwiczyli się od dzieciństwa; cała ich usilność rozpryska o skalistą trudność w dobraniu stosownych barw na myśli, w przelaniu wiernem duszy w słowa. Szyller narzekał że trudno mu z całą jasnością i zupełnością wynurzyć się w języku niemieckim, i uznawał takiego już za bardzo biegłego pisarza, który tyle powiedział że czytelnik mógł się dorozumieć reszty co myślał, i obraz w oddaniu niezupełny sobą uzupełni. *Ich waer ein Dichter geworden wenn nicht die Sprache so unüberwindlich wäre*; powiedział *Göthe* rozumiejąc pod tem stosunek mowy do ducha. A niejeden z najpłytszych salonowców narzuca ci w przeciągu godziny niezliczone mnóstwo słów obcych, z taką łatwością i prętkością, jakgdyby rznął sieczkę lub jakby źrebię brykało. To też wszystkie rozmowy salonowe ze wszystkiemi swojemi grzecznościami, pięknościami, zastanowieniami, rozumami i dowcipami, zebrawszy je razem z lat trzech i sześciu miesięcy, nie warte są torby sieczki, nie mają i za grosz szczerości. Lekarstwo które służy i pomaga, zażyte w pewnem czasie i pewnéj ilości, może ogromnie zaszkodzić, jeżeli chory w najlepszej chęci wypije od razu co miało wystarczyć na miesiąc. Najpiękniejszy dar boży, najużyteczniejsze przymioty stają się przez nadużycie szkodliwemi. Używanie powszechne i ciągłe mowy obcej jest nadużyciem pamięci, przyzwyczaja i ułatwia mówienie z nauki bez myślenia i uczucia, pozbawia słowa zapału i życia, nadużywając je rozumieniem; oswaja z udawaniem, czyni nas obojętnymi i nieszczerymi, przemienia duszę w szkatułkę Abrahama Szterna, która rzucone w nią liczby składa według potrzeby i żądania, choć niema głowy ani serca. Choroba ta ściąga jak pijawka ojczystym nawet słowom całą tęgość i wartość jaką miały dla nas pierwotnie, wprowadza w używanie mnóstwo obłudnych grzeczności, jakie wpływają potem na charakter. Posiada nasz jyzyk dosyć swoich własnych nieszczerości, zabytków wieków służalczych np. padam do nóg, sługa najniższy itp; trzebażgo jeszcze oszpecać nieszczerościami innych obłudniejszych języków, aby w ten sposób znikczemnić ducha i ludzi? Zatem też poszło ze lada fanfaronik przysiadłszy się do pierwszej lepszej piękności, prawi jej zaraz z rejestru o uczuciach i miłości, jakgdyby był doprawdy zakochany po uszy, niezarumieniwszy się nawet że kłamie. Pierwsi kochankowie mówili prawdę zapewne, bo tylko tyle wiedzieli co czuli, wiedza ich dowiadywała się od czucia; lecz jakże ten niema kłamać którego czucie dowiaduje się dopiero od wiedzy o miłości jakoby o jakiej niespodziewanej nowinie? Wczorajszy znajomy nazywa się przyjacielem, a przyjaciela tego jak się gładziutko wyściskało i wycałowało, tak się też wyśmiewa i obmawia, bez zająknienia. Jak ty dziś ślicznie wyglądasz! jak ci w tym stroju do twarzy! mówiła jedna z takich przyjaciółek; a oddaliwszy się o pare kroków wytykała palcem te, ty śliczne: czyż można było co dziwaczniejszego wciągnąć na siebie! Nie jest ona wprawdzie piękną i żaden strój cudu nie zrobi; lecz taki oszpeciłby i najpiękniejszą. Mój boże! dopiero cudo będzie z takiej przyjaciółki jak kości ztwardnieją, kiedy już w 16tym roczku tyle posiada polityki. — W ten sposób namnożyło się mnóstwo rzeczy, które zwyczaj i elegancia inaczej nazywa niż się nazywają.

I tak gacha, jejmości nazywają przyjacielem męża. Są znowu prawdy które delikatne uszy obrażają, pfe o tem mówić w dobrej kompanii, zrobimy to jak się kompania rozejdzie. Głupiec nazywa się *bonhomme* itp. Gdyby chcieć zebrać wszystkie te słowa jak ich używają i rozumieją, pokazałoby się że wkażdym języku jest jeszcze inny język.

Szczerość sama stała się bóstwem mitologicznem którego istota zaginęła, a nazwisko tylko zostało. Udanie odgrywa rolę najgłówniejszą pod nazwiskiem *savoir faire*. Powiedział Tajlerand iż bóg nam mowy udzielił na ukrycie myśli; jakoż istotnie gdybyśmy wszyscy szczerymi być chcieli, alboby się świat całkiem poprawił i zmienił, albo rozprzągł i zapadł. Jestto już tylko powołaniem pisarzy (coraz smutniejszem) ażeby byli szczerymi. Coraz więcej doskonali się udanie, i trudno będzie nareszcie dowodów aby go zawstydzić. W życiu społecznem zostawmy ludziom obłudę, która ich łączy i bawi; ale w życiu domowem, w kole przyjacielskiem i rodzinnem, powinnaby jeszcze szczerość mieć jakąś wartość, tym większą roskosz sprawując, im rzadszym jest gościem i osobliwszem zjawiskiem.

SZKICE PODRÓŻNE.

LINC, GMUNDEN, ISZL, SALCBURG, BERTECHSGADEN, MNICHÓW; GUZIKÓW.

Ciąg dalszy.

W Pinakotece zajęła mój wzrok i czucie przedewszystkiem Madonna z dziecięciem Jezus, pęzla Luiniego, pogodna i wzniosła, czysta i miłości pełna. Niejeden artysta z powołania, śmiać się może będzie, gdy się dowie, że zaraz obok znajdowała się święta rodzina Rafaela; a ja wszelako, po krótkiem jej obejrzeniu do mego Luiniego i raz i drugi wracałem; niech się śmieje; ja jednak niemyślę taić mojego indiwidualnego wrażenia, dodam tylko, że na obrazie Rafaela pęzel restauratorów aż nadto jest widoczny. Na to wszakże nigdy się niezgodzę, aby tak zwanemu Berberiniego spiącemu Faunowi, w Gliptotece się znajdującemu, odmawiać przodku, a przynajmniej stawienia go na równi z tem wszystkiem, co kiedykolwiek sztuka rzeźbiarska wydała. Niech jego twórca Skopas lub Praxyteles się zowie, niechby nawet jego imię w pomroce czasów zaginęło na wieki: nieto niema do rzeczy, zawsze on był wysokim mistrzem, stał na najwyższym szczeblu umnictwa, zamieszkał podobnie królom i poetom najwyższe dziedziny człowieczeństwa. Nimem znał, nimem oglądał ten utwor, niemiałem pojęcia, niemiałem przeczucia, jak można z kamienia tyle prawdy, tyle życia wywołać; ledwie się niepokusisz rękę do ust przybliżyć, aby pochwycić tchnienie wznoszącej się piersi; on spi; nie! on tylko przymknął powieki, aby w upojeniu zmysłów nieprzerywać snu ciężkiego. Tak blisko jawy i życia, w szlachetniejszem tylko usposobieniu i postaci, mogła być kiedyś Galatea, i nie dziw, że przejście z takiego wyrazu duszy do rzeczywistego życia tak łatwe, tak naturalne zdawać się musiało. Tak przynajmniej byłem skłonny tłomaczyć sobie powód do tego i my tu, wpatrując się w tego Fauna, a po oglądaniu jego, wszystkie starożytne i nowoczesne utwory plastyki, jakkolwiek wysoce cenione być mogą, zdawały mi się niższemi; tak w Mnichowie, tak poźniej w Berlinie, bogatszym w dobrze utrzymane i z wielkiem wrażeniem ustawione dzieła rzeźbiarstwa. Tylko *w Sansouci* silny znowu pociąg miała dla mnie Raucha królowa Ludwika, ujęta snem słodkim, owiana niewysławionym urokiem wdzięku i dobroci! Ale jabym jej zdjął był ten diadem z czoła; nie dobrze on się tu wydaje, i rzekłbym: nieprzystoi osobie pod lekką, przezroczystą spiącej obsłoną, chociaż ona jest królową, chociaż snem śmierci zasnęła. Wszelako, gdy to dzieło za zupełnie nienaganne uchodzi, nieudzielałem mego zdania nikomu.

Ciąg dalszy nastąpi.

ROXOLANKA.

POWIASTKA HISTORYCZNA.

Dokończenie.

Dzień właśnie począł świtać, a Roxołanka uciekła szybkim krokiem.

Rustan stał jakiś czas nieporuszony na miejscu tajemniczej schadzki, niemogąc nawet wierzyć sobie samemu, żeby to wszystko miało być prawdą. Wzdrygnął się na samą myśl roli, którą miał odegrać. Ścięcie głowy, pal, łamanie kołem, zmieniały się w jego głowie z wyobrażeniem wielkości i potęgi, widział się na przemian baszą i ściętym, nabitym na pal i seraskierem, wezyrem i poćwiertowanym. Nareszcie przemogła duma i z głową zadartą do góry i krokiem poważnym opuścił ogrody seraju.

Tego samego dnia Roxolanka, aby była temwięcej bezpieczna, opowiedziała Solimanowi, że jedna niewolnica miała schadzkę z jakimś kawalerzystą arabskim. Sułtan rozgniewany, kazał natychmiast zawołać Hafizbaszę rządcę pałacu i złośliwie wyrzucał mu brak gorliwości w dopełnianiu obowiązków.

— Panie! odpowiedział przestraszony rządca, dowiedziałem się o tej szkaradnej hańbie; a dówódca arabów Rustan bej wskazał mi sprawcę. Natychmiast będziesz pomszczony za zniewagę wyrządzoną waszej wysokości.

— Tak, będę! zawołał Soliman, ale nie przez ciebie psie gnuśny, tylko przez Rustana, który od tej chwili zastąpi cię w urzędzie, jak cię zastępował w twoim obowiązku, choć to niebyło jego powinnością... Idź, oświadcz mu, że go robię rządcą seraju, i że nakazuję mu, ukarać przykładnie tych nędznych, co się poważyli szydzić ze mnie.

Hafiz zniżył się aż do ziemi i wyszedł z zwrokiem spuszczonym.

— Jesteś godnym rządzić całym światem! zawołała Roxolanka ściskając sułtana i całując go stokrotnie. Dałby bóg, aby twoje państwo długo jeszcze niemiało innego pana prócz ciebie, bo ktożby zdołał ci wyrównać w męstwie i w sprawiedliwości?

Soliman przycisnął ją serdecznie do piersi, obsypując ją pieszczotami, a ich wspólne tchnienia zmieszały się...

Rustan zostawszy baszą i rządcą pałacu, zaczął swoją nową dostojność od wbicia na pal rzezańca i uduszenia jako znieważyciela seraju nieszczęśliwego szeika, dotychczas jedynego jego rywala w dowództwie. Biedna zaś niewolnica została zaszyta w worek napełniony kamieńmi i wrzucono do Bosforu.

To trojakie wymierzenie sprawiedliwości usunęło część przeszkód, stojących Roxolance na zawadzie, do wykonania haniebnego zamiaru i spełnienia zemsty. Mogli więc sprzysięgać się bezkarnie i nie omylili się.

Wojna otworzyła się z sofim perskim, a Soliman pojechał stanąć na czele swego wojska. W jego niebytności Roxolanka

z wielką gorliwością uczyła się wiary muzułmańskiej, i zrobiła sobie ślub postawić meczet, aby najwyższy stwórca i jego prorok w najdłuższe lata utrzymywali cesarza przy życiu. Mufty w tym względzie wezwany do rady, a już pozyskany na jej stronę przez Rustana, bardzo chwalił ten zamiar, dodając jednakże że ponieważ Roxolanka jest niewolnicą, a zatem niemająca własnej woli w przedsiewzięciach, przeto cała zasługa świętego zamiaru z prawa spadłaby na Sułtana. Ta odpowiedź wielce zdawała się ją zasmucać; udała okropną rospacz, i wielkie zniechęcenie do życia zdało się opanować jej duszę. Rustan wnet zwrócił nato uwagę sułtana, a cesarz którego oddalenie się podwoiło miłość, nagabany ustawicznie przez swoją najdroższą kochankę, pospieszył się czemprędzej ożywić ją własnoręcznie podpisanem pismem. Ten nowy wypadek rozweselił Roxolankę, wkrótce powróciła jej dawna wesołość i żywość duszy.

Wyprawa ukończyła się szczęśliwie, a Soliman powrócił w tryumfie do Konstantynopola. Po długiem rozstaniu cieszył się niezmiernie na widok Roxolanki i tego samego jeszcze wieczora posłał do niej rzezańca z zaproszeniem, aby przyszła dzielić jego łoże. Ale Roxolanka odrzuciła prożbę, mówiąc z udanym żalem. »Że to, co dla niewolnicy było szczęściem nieograniczonem, byłoby występkiem dla kobiety wolnej, i że ona nigdy niedozwoli, aby sułtan miał się stać winnym tak wielkiego przekroczenia przeciw prawom proroka.«

Soliman, którego ten fałszywy skrupuł rozjątrzył do ostatniego, zasięgnął rady Muftego. Dobrze się udało. Wielki kapłan islamizmu ujęty podarunkami odpowiedział że koran istotnie wzbrania obcowania z wolną kobieta, jeżeli nie jest żoną prawną. Zakochany Sułtan łatwo nakłonił się na tę stronę, ożenił się uroczyście z Roxolanką, znosząc zwyczaj istniejący od czasów Bajazeta Igo, który postanowił, (bo żona jego została przez żołnierzy Tamerlana uprowadzoną) aby monarchowie ottomańscy niepodzielali łoże tylko z niewolnicami.

Tak został urzeczywistniony sen młodej córki Podola, kiedy nad brzegami Smotrycza myślała nad odnowieniem dawnego zwyczaju, aby sułtanowie mogli się żenić z swemi niewolnicami. I istotnie że szczęście często się uweźmie, aby wysłuchać dumne, najdziwaczniejsze życzenia i oszukać skromne oczy prawdziwej zasługi.

Pewnego razu Roxolanka wszystkie starania zwróciła ku ustaleniu losu swych dzieci, i w tym celu pracowała czynnie nad zgubą Mustafy.

Xiąże ten z natury dobry i słodki, został przez ojca mianowany gubernatorem Diarbekiru, prowincii ostatnią razą Persom odebranej. Jego liczne przymioty zrobiły go wkrótce ulubieńcem ludu i wojska, lecz niestety! one miały się stać przyczyną jego własnego upadku.

Przy każdej sposobności w której Roxolanka mówiła sułtanowi o jego synie, tak dobrze wynosiła jego zasługi, tak dalece wystawiała przychylność wojska ku niemu, i przechwalała jego męstwo i chciwość, że Soliman mimowolnie miał go w największem podejrzeniu. Roxolanka przypomniała z przebiegłością, sułtana Bajazeta I, i jego okropne zmartwienie, którego doznał z powodu zbuntowania się syna Selima; potem wychwalała waleczność wojska stojącego pod rozkazami Mustafy, i zwróciła złośliwie uwagę, że Diarbekir jest prowincią pograniczną perskiego sofi, najzaciętszego nieprzyjaciela porty. Wszystko to było upstrzone pompatycznemi pochwałami Rustana, którego malowała jako najprzychilniejszego sługę cesarstwa i najzdatniejszego ministra. Ten ostatni cios dosięgnął głębiej niż wszystkie poprzednie. Nieufność ojca dla syna zmieniła się powoli w najokropniejszą wzgardę, a sułtan zaślepiony, oszukany, omamiony zrobił Rustana wielkim wezyrem; podczas kiedy Mustafa został otoczony zgrają szpiegów mających zlecenie, donosić najdrobniejsze szczegóły jego prowadzenia się.

Od tego czasu Soliman niebył już w stanie nic odmówić kobiecie, która go zawojowała. Przeciwko przyjętym prawidłom panującej familii, dzieci Roxolanki bywały na dworze; a Rustan który uprowadził matkę, został mężem córki za zezwoleniem cesarza. Zdradziecka siatka w którą wplątany był Mustafa, ściągała się coraz więcej, a chwila jego upadku zbliżała się szybko.

Wkrótce słaby umysł Solimana wzniecił podejrzenia, coraz więcej jątrzony przez fałszywy postrach obwiniał baszów o porozumienie z synem. Widział już wybuch odzywający się w prowincjach południowych i tron swój napadany z bronią w ręku. Rustan otrzymał rozkaz wyruszenia do Diarbekiru z liczną armią niby pod pozorem pobicia Persów, a właściwie aby sułtana uwolnić od wyrodnego dziecka, którego śmierć była konieczną, dla jego bezpieczeństwa. Przybywszy na miejsce przeznaczenia, przebiegły wezyr niechciał sam wykonać tak haniebnego wyroku, bo się bał wzburzenia między własnem wojskiem, i dla tego napisał do Sułtana, że interes jest zbyt ważny, aby się bez jego obecności obejść mogło, dodając że wykrył układy między sofim perskim a Mustafą, o ożenienie się ostatniego z córką pierwszego.

To potwaracze oskarżenie zrobiło na chytrej zgrai pożądany skutek.

Soliman uniesiony wściekłością, oddychający zemstą, pospieszył czemprędzej stanąć na czele wojska. Roxolanka towarzyszyła mu.

Przybywszy do obozu naradzano się o z Rustanem o środkach, a Mustafa dostał rozkaz stawienia się przed sułtanem. Niewiedział on nic ani o intrygach swojej macochy, ani o zdradzie wielkiego wezyra, i spodziewał się, że zupełne posłuszeństwo woli oszukanego ojca posłuży do wyprowadzenia go z błędu.

Przyjechał zatem do obozu Solimana w towarzystwie Demuchana xięcia tatarów.

— Jeżeli mię uwiężą, mówił do niego, twojej opiece powierzam młodego syna mojego, aby to dziecko mogło stanąć w mojej obronie!

— Twoja niewinność, twoje skore poddanie się, odrzekł tatar, zwrócą oszukanemu sułtanowi prawdziwe uczucia ojcowskie.

Zjawienie się jednego sziaua przerwało rozmowę. Mustafa ścisnął z rozrzewnieniem rękę swego towarzysza, łza zrosiła jego powiekę, a ciężkie westchnienie wydobywało się z jego piersi przyciśnionej przeczuciem jakiejś wielkiej niespokojności. Sziau wprowadził go do namiotu sułtana, gdzie żadnego niepostrzegł podejrzenia; ale wkrótce zjawili się niemi, a Mustafa już niemógł powątpiewać o losie który go czekał.

— Tutaj żądają mojej śmierci! zawołał, i chciał się wymknąć z tej haniebnej zasadzki. Niemi rzucili się na niego; ale Mustafa odrzucił ich z męstwem.... Woła na swego wierne-

go tatara!... Gdyby mógł wyjść z namiotu, żołnierze ocaliliby go... Zbiera w tej myśli wszystkie siły, aby walczyć z katami... Soliman słyszy krzyk syna i hałas oporu; wlatuje, bojąc się aby nieuciekła zdobycz, i groźną pastwą obwinia sprawców o powolność i tchórzostwo.

Na widok rozgniewanego ojca wszystkie siły opuszczają Mustafę, całe męstwo ustaje... wyciąga swoje ramiona do Solimana...

Jego spojrzenie wyrażało nieopisaną żałość a usta wydały krzyk: litości¡... Soliman cofa się waha, rozrzewnia... wszystkie dawne uczucia czułości obudziły się w nim... To syn jego!... dziecię matki którą on kochał, uwielbiał!...

Sułtan chce przebaczyć... gdy wtem podnosi się zasłona i mignęło błyszczące spojrzenie... Byłoto spojrzenie sułtanki... Zadrzeli oprawcy, Mustafa i... sam Soliman. Dzieło morderstwa przeciąga się, fatalny stryczek zawiązany, a ostatnie tchnienie Mustafy zapewniło na zawsze tryumf Roxolance!

Gdy wieść o śmierci xięcia dobiegła Danuchana, opanowała go wściekłość trudna do opisania; targał brodę, rozdzierał piersi i czynił sobie tysiąc wyrzutów, że namówił Mustafę do stawienia się przed nielitościwym ojcem. Lecz rozpacz niemogła trwać długo, bo przypomniawszy sobie Demuchan obietnicę, puścił się drogą do Alepu i pędził co wyskoczyć mógł jego biegun; a niezadługo przebył odległość, która dzieliła obóz od stolicy Syrii.

Dzień już zniknął, a cienie zmierzchu pokrywały kręte ulice miasta, kiedy Demuchan zapukał do pałacu, który zamykał potomka sułtanów. Rzezaniec otworzył mu, a poznawszy przyjaciela pana swojego pozwolił mu wniść do haremu. Nietracąc ani chwili czasu, porwał Demuchan kosztowne dziecię, i w towarzystwie kilku sług przychylnych, pędził dniem i nocą do Bursy; gdzie w zaciszy żyła czerkieska, matka Mustafy. Tej rospacz była okropna, gdy się dowiedziała o haniebnym wypadku; ale promyk nadziei który zajaśniał w oku Demuchana osuszył łzy z jej twarzy. Gdyby mogła była odzyskać choć małą cząstkę dawnej miłości Solimana, i mogła go obeznać z intrygami, których był ofiarą, byłaby pomszczona za śmierć swego biednego syna i oddałaby przeraźliwe wet za wet za prześladowania od tak długiego czasu znoszone w cichości. Ta myśl przywiązała ją do życia.

Ale Roxolanka, nieubłagana Roxolanka pamiętała o zdobyczy i zaczyhała na nią. Jak tylko dowiedziała się o porwaniu młodego Osmana podwoiła czuwanie i wmówiła w Solimana bez najmniejszej trudności, że ten mały xiążę będzie służył za hasło wzburzonej ludności.

Posłaniec został wyprawiony do Bursy z poleceniem aby syna Mustafy spotkał los ojca. Niewinne dziecię padło ofiarą. Roxolanka ujęta poświęceniem i wzruszona jakimś niezrozumianem dawniejszem wspomnieniem, wstawiła się za ułaskawieniem wiernego tatara.

W kilka miesięcy poźniej powróciła Roxolanka z Sułtanem do Konstantynopola i robiła przygotowania do ogłoszenia następcą tronu swego syna Bajazeta, tego Bajazeta, dla którego popełniła tyle zbrodni i tyle krwi przelała!

W wilią dnia kiedy ta uroczystość miała być obchodzoną z całą okazałością jaka miała miejsce podczas ogłoszenia nieszczęśliwego Mustafy, Roxolanka przechadzała się sama krokiem powolnym po marmurowej posadzce wielkiej sali haremu. Nic już niebrakowało do urzeczystwienia jej zamiarów, wszystkie przeszkody były usunięte, a przecież twarz sułtanki zdradzała gwałtowne wzruszenie... Byłyżto wyrzuty sumienia?... To serce do którego iskierka litości nie miała przystępu miałożby się zakrwawić przed zbliżeniem truymfu?... Trudnoto było odgadnąć, a przecież ileżto razy historia duszy człowieka nieprzedstawiała podobnych sprzeczności?...

Zdarzenia przyszłości przedstawiały się jedno za drugiem niespokojnej duszy sułtanki; tak bliska osiągnienia celu niepokoiła się jej macierzyńska troskliwość. Nagle zatrzymała się na środku sali, słabo oświeconej alabastrową lampą, a zawoławszy czarnego rzezańca kazała przeprowadzić przed siebie więźnia tatara. Wkrótce przybył obciążony łańcuchami; nie wiek ale cierpienia wyryły na jego twarzy ślady starości.

—Jesteś skazanym na śmierć, rzekła Roxolanka; ale śmierć twoja nacożby mi się zdała? Cenię twoje przywiązanie dla xięcia, któregoś chciał uratować; tak jest! śmiałość i szybkość kroku twego świadczą, że jesteś człowiekiem odważnym. Chcę cię uwolnić i życzę sobie, abyś równie przylgnął do mego syna: bądź mu życzliwym a nagroda cię nie minie.

Oczy tatara błysnęły jak dwa światełka, a nieprzerywając milczenia, potrząsł szydersko głową.

— Więc odrzucasz moje ofiary? zawołała sułtanka tonem gniewliwym.

—Pozwól mi wrócić do mej najdroższej ojczyzny, oto cała proźba moja; odpowiedział więzień!

—Do twojej ojczyzny?... Gdziesz ją masz? zapytała Roxolanka utopiwszy wzrok swój w wzroku tatara.

—¡Więc mię niepoznajesz?... Jestem kozak Demko, sługa twego ojca, ojca zamordowanego przez twego kochanka, Demko niewolnik tatarów a poźniej ich xiążę Demuchan; przyjaciel Mustafy, z twej woli; obrońcą jedo dziecka, któreś kazała udusić; tak! Demko, pomimo przeszkód, wierny swojej religii i swojej ojczyznie, którycheś się ty wyrzekła! ty!...

Mówiąc te słowa niewolnik, odsłonił swe piersi, na których błyszczał mały złoty krzyżyk, ten sam który niegdyś w swojej młodości nosiła Helena. Na te słowa oskarzenia i wyrzutu sułtanka pobladła, zachwiała się i upadła bez przytomności. Niewolnicy usłyszawszy krzyk wybiegli z swoich zakątków i wynieśli ją. Demko został do więzienia odprowadzony.

Tej samej nocy, Roxolanka żyć przestała. Skonała na rękach Solimana, przekonanego dzisiaj, więcej niż kiedykolwiek, o jej wielkich przymiotach, a przed skonaniem prosiła o uwolnienie Tatara. Demko zobaczył swoję ojczyznę; jego potomstwo podziśdzień jeszcze mieszkające nad brzegami Smotrycza, przechowało aż do naszych czasów podanie o podolance-sułtance....

O! jakże powabna Roxolanka powieści i wyobraźni, różni się od okrutnej Roxolanki dziejów i rzeczywistości!...

F. X. Jaworski.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.